Nr. 41. We Lwowie dnia 14. października 1895. Rok III.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

PASTEUR.

(Urodzony 27. grudnia 1822 — zmarł 28. września 1895).

Było to w roku 1860. Na jedno z posiedzeń Akademji Nauk w Paryżu przybył znakomity naturalista, Pouchet, i okazał zgromadzonym członkom epruwetkę, w której nad rtęcią, w naparze siana rozwijał się obfity rój drobnoustrojów. Wnętrze epruwetki było odcięte od zetknięcia z powietrzem zewnętrznem, — a doświadczenie Pouchet'a miało na celu przekonać, że w cieczach, zawierających rozkładające się materje organiczne, samoistnie rozwijają się drobniutkie żywe istotki. Spór o samorództwo gorzał jeszcze podówczas wielkim, nieustannie podsycanym płomieniem.

W najbliższy poniedziałek po demonstracji Pouchet'a, na następne posiedzenie Akademji przyniósł Pasteur dwie epruwetki, zupełnie podobne do okazanych przez Pouchet'a. Wnętrze jednej roiło się od mikroorganizmów, w drugiej nie było ani śladu życia organicznego. W pierwszej — jak objaśnił znakomity już wówczas uczony, — rtęć nie była dostatecznie czysta, nie uwolniono jej od przylegających mikrobów, zaczerpniętych z powietrza; natomiast do drugiej epruwetki wzięto rtęć przegotowaną, wyjałowioną, starannie oczyszczoną z bakterji. Doświadczenie Pouchet'a stało się zrozumiałem: wraz z rtęcią wprowadził on do wnętrza epruwetki bakterje, które znalazłszy pomyślny grunt do dalszego rozwoju w naparze siana, bujnie się rozpleniły. A jednocześnie i ostatecznie Pasteur zadał cios śmiertelny nauce o samorództwie, która wielokrotnie już przedtem przez niego samego i innych uczonych odpierana, wciąż nowych szukała argumentów do pokonania swych przeciwników. Ileż to przed nim przytaczano dowodów na to, że wymoczki i pierwotniaki powstają same przez się, bez udziału podobnych do nich żywych tworów, wprost na gnijących podłożach! Ile rozprawiano i przytaczano argumentów rozumowych dla poparcia teorji samorództwa! Ile wreszcie przeciwnicy samorództwa zużyli słów i eksperymentów dla pokonania tej teorji, brużdżącej w nauce od najdawniejszych czasów! Nic nie pomagało, — spór trwał ustawicznie i zaogniał się coraz więcej. Aż oto naraz jedno proste doświadczenie, tak proste, że aż zdumiewające swą prostotą, przecięło setki lat trwające rozprawy i pogrzebało nazawsze myśl o samorództwie.

Niegdyś myśliciele starożytni wyobrażali sobie, że żywe istoty same przez się powstały — z chaosu, z wody, z wilgotnej ziemi. W średnich wiekach wierzono jeszcze, że n. p. czerwie i robaki w gnijącem mięsie lub serze powstają z podłoża, na którem je znajdujemy, a które daje im życie skutkiem procesu gnicia. Poglądy te z biegiem czasu okazały się błędnemi, a im dalej postępowano w poznawaniu drobnych ustrojów, tem koło bardziej się zacieśniało, tem stawały się drobniejsze owe formy żyjące, na których istnieniu spoczywał gmach teorji o samorództwie, aż wreszcie oparto się na najmniejszych, najniższych w świecie ożywionych istotkach, bakterjach. I oto w tej chwili, kiedy potrzeba było niezwykle ścisłych metod w badaniu, kiedy najsubtelniejszemi wypadło się posługiwać środkami naukowemi dla odszukania istotnej prawdy, ukazuje się na arenie Pasteur, chemik z powołania, i wnosi światło tam, gdzie dotychczas zalegały ciemności i panował nieopisany zamęt w poglądach.

Pasteur był chemikiem i pierwsze jego badania naukowe wyłącznie chemji były poświęcone. Temu chyba zawdzięczać wypada, że do

nauki bjologji, i to do części tej nauki najmniej napozór dostępnej, wprowadził on metody badania ścisłe, jakich bjologowie jego czasów zupełnie nie znali. Mistrz nad mistrzami w nauce o życiu, twórca nowej gałęzi wiedzy bjologicznej — bakterjologji, najprawowitszy rodzic współczesnych poglądów w medycynie — zapewne głównie dzięki temu doszedł do tak imponujących rezultatów, że przeniknięty ścisłością rozumowania w naukach fizyko-chemicznych, starał się przenieść do bjologji normy eksperymentów chemicznych, usiłował jasne stawiać przyrodzie pytania, a otrzymywane od niej odpowiedzi nieskończoną liczbę razy sprawdzał wciąż nowemi, a odmiennemi doświadczeniami. Wytrwały w podejmowanej pracy, niełatwo zrażający się niepowodzeniami, surowy krytyk własnej roboty, Pasteur od najprostszego napozór zadania przechodzi drogą logicznego rozumowania do najdonioślejszych kwestji naukowych i praktycznych. Wszystko, co napotyka na tej drodze, a co nie tłómaczy mu się zrozumiale, wciąga w zakres swych badań i póty swój przedmiot opracowuje, póty mozoli się nad nim i trudzi, aż nie wydobędzie samego jądra prawdy. Wówczas dopiero resztę, szczegóły pozostawia swym uczniom, bo samemu pilno mu do innych, ważnych, wytycznych spraw.

Żywot naukowy Pasteur'a pełen jest największych zdobyczy, najwspanialszych tryumfów, jakie spotykać się dają w dziejach wiedzy ludzkiej. A przez cały ten żywot ciągnie się nieprzerwanie, jak nić czerwona, jedna myśl, zrazu drobna, niby małoznacząca, lecz im dalej, tem większa, donioślejsza, olbrzymiejąca — myśl, zawierająca najwyższe, najszczytniejsze zagadki natury, wiążąca się z pytaniami o początkach życia i o walce ze śmiercią.

Pasteur-chemik bada w początkach swego zawodu naukowego produkty, wytwarzane w cieczach fermentujących. Przystępuje zaś do tych badań wówczas, kiedy sama natura zjawisk fermentacyjnych niejasna jest jeszcze i przez nikogo niesformułowana należycie. Dokładnie rozbiera, analizuje wytwory fermentacji, a sam proces stara się ująć w formę równania chemicznego, któreby zdawało mu sprawę tak dokładnie, jak przywykł do tego w innych zjawiskach czysto chemicznych. Roztwór cukru fermentuje, a produktami tej fermentacji są: alkohol, kwas węglany oraz małe ilości gliceryny, kwasu bursztynowego itd. Że ten proces zawilszym jest od zwykłych rozkładów chemicznych, wiedzieli już i poprzednicy Pasteur'a. W rozmaity też sposób starali się wybrnąć z trudności, jakie nasuwały się przy tłómaczeniu tego zjawiska. A jakkolwiek spostrzegano przy fermentacji cukrowej obecność osobliwych, mikroskopowych form kulistych, obdarzonych zdolnością wyrastania, rozmnażania się i rozwijania (drozdże) — uważano je za coś przypadkowego, ubocznego, co z samym procesem fermentacji nie pozostawało w bezpośrednim związku. Dzięki powadze wielkiego chemika, Liebig'a, przez długi czas utrzymywało się przekonanie, że we wszelkiej fermentacji upatrywać należy tylko osobliwy objaw chemiczny, zachodzący w rozkładającej się materji organicznej. Pasteur jedyny nie pozwolił się obałamucić i najdowodniej przekonał współczesnych o roli, jaką w każdej fermentacji odgrywają żywe ustroje. One to właściwie wywołują fermentację, dzięki ich procesowi życiowemu zachodzi rozkład materji organicznej. Bez drobnoustrojów, bez bakterji, niema fermentacji, niema gnicia, niema rozkładu substancji organicznej, niema powrotu ciała niegdyś żywego do natury martwej. Bez mikrobów niema dla nas absolutnie zrozumienia całego krążenia materji na ziemi naszej, bez owych najdrobniejszych istot nie pojmujemy najważniejszych zjawisk przyrody.

Niedość, że powiodło się ostatecznie wykryć przyczynę fermentacji, lecz umysł tej miary, co Pasteur domagał się analizy znacznie głębszej. Postanowił sobie dla rozmaitych zjawisk fermentacyjnych odszukać specyficznych ich przyczyn. I istotnie, inne drobno-ustroje wywołują rozkład cukru na alkohol i dwutlenek węgla, inne zamieniają alkohol na kwas octowy, a znów inne są przyczyną kwaśnienia mleka. Znamy dziesiątki rozmaitych procesów fermentacyjnych, a każdy wywołany zostaje przez inny gatunek bakterji. Pasteur wynalazł sposoby wykrywania tych rozmaitych gatunków, ich hodowania w stanie zupełnie czystym, niezamąconym przez obecność gatunków pokrewnych, identyfikowania w każdym oddzielnym wypadku, badania ich warunków życiowych, ich potrzeb, okoliczności, w jakich mnożą się i dobrze rozwijają lub wiodą życie nędzne i giną. A dowiódłszy w kilku wypadkach, że niektóre gatunki bakterji sprowadzają choroby zakaźne u zwierząt i ludzi, tem gorliwiej zabrał się do pracy, tem sumienniej starał się poznać w najdrobniejszych szczegółach dzieje ich życia, by podać ludziom oręż do walczenia z tymi wrogami. A przyznać trzeba, że należał Pasteur, do wyjątkowo szczęśliwych uczonych, bo za życia swego widział jeszcze plon swej pracy, widział jak nauka przez niego zapoczątkowana rozwinęła się do szczytów tak wyniosłych, że ogarnęła cały bieg współczesnej medycyny, że skierowała prąd nauki lekarskiej w wyżłobione przez siebie koryto i owładnęła najszersze koła umysłów.

Rozpoczął swe studja nad chorobotwórczemi mikrobami od badania tych rozmaitych gatunków, które powodują psucie się, choroby win.

Jednocześnie zajął się badaniem zakaźnej choroby jedwabników, pożeranych przez określony gatunek mikrobów. Później przeszedł do chorób wyższych zwierząt i ludzi. A jakiegokolwiek dotknął się zadania, wszędzie niemal kończył je zwycięsko. Rolnikom i hodowcom wskazywał sposoby zabezpieczania bydła od chorób zakaź-

nych, producentom cieczy sfermentowanych dawał rady, jak zapobiegać niepożądanym fermentacjom, a sprowadzać najłatwiej pożądane, lekarzom wreszcie nakreślił drogę, po której kroczyć wypada, ażeby zabezpieczać ludzi od nabywania chorób zakaźnych, a walczyć z temi chorobami, gdy raz wybuchły. Gdy zaś dotknął się tych niezwykle trudnych zadań naukowych, i nie odrazu udało mu się drogą teoretycznych rozumowań dojść do celu, wówczas, — bacząc na niezmierną ważność praktyczną poruszanych spraw, licząc się z doniosłością tych usług, jakie ludzkości przysporzyć może — empirycznie poczynał sobie radzić i, *quand même*, zdobywał rozwiązanie zajmującego go zadania.

Drogą logicznego rozumowania i konsekwentnego doświadczenia doszedł do sformułowania prawideł dezinfekcji i sterylizacji, oraz poddał znakomitemu chirurgowi angielskiemu, Listerowi, myśl antyseptyki. Jak płodnemi w najzbawienniejsze skutki były i nazawsze pozostaną te prace Pasteur'a, zbytecznem byłoby się rozwodzić. Pokolenia dzisiejsze, interesujące się postępami nauki, zbyt świeżo mają w pamięci te najpiękniejsze tryumfy medycyny, jakie zawdzięczamy antyseptycznemu opatrunkowi ran, ażeby potrzeba było o nich obszernie się rozpisywać. Dezinfekcja pomieszkań ludzkich, sterylizacja pokarmów i napojów — to wszystko tak nowe są zdobycze wiedzy, że wciąż jeszcze mamy je na ustach i ustawicznie o nich rozprawiamy. Wobec śmierci tego wielkiego dobroczyńcy, któremu wszystko to zawdzięczamy, dość o tem wspomnieć w kilku słowach, aby ocenić, co traci w nim nauka, co traci ludzkość cała.

A bynajmniej nie na tem koniec jego zasług. Empiryczne badania zaprowadziły Pasteur'a jeszcze dalej. Ukazały mu one pewne nie dość jeszcze dobrze poznane właściwości organizmu ludzkiego, które wyzyskać można dla naszego dobra. Żyjemy właśnie w okresie badań rozległych i głębokich na tem polu. Chodzi tu już wprost o leczenie chorób, gdy raz owładnęły naszym organizmem, o leczenie na drodze podobnej do tej, jaką niezapomniany Jenner po raz pierwszy zabezpieczył ludzi od zabójczej ospy. Z jednej strony szczepienie ochronne przeciw chorobom zakaźnym, z drugiej odkrycie środków leczniczych na te choroby zajmowały Pasteur'a przez ostatnie lata życia. Wiadomo ogólnie, jakie osiągnął on rezultaty w leczeniu owej strasznej choroby, przeciw której żadnego nie było środka przed nim — wścieklizny. Mniej może ogólnie wiadomo, że wszystkie owe metody leczenia chorób zakaźnych, o których tyle w ostatnich czasach donoszą nam pisma naukowe i popularne, istotny swój początek biorą w pracach Pasteur'a. Dzieje bakterjologji, którą do życia powołał Pasteur, tak są krótkie, że my, współcześni tego wielkiego uczonego, z łatwością jeszcze objąć możemy wzrokiem cały postęp nauki w tej dziedzinie. I dokądkolwiek się zwrócimy, w najodleglejszych zakątkach bakterjologicznych dostrzegamy światło, którego pierwsze promienie wybiegają z prac Pasteur'a. Ludzie tej miary tworzą szkoły, ba, więcej nawet, stwarzają epoki w dziejach poznania ludzkiego. A imiona ich nie wygasają w pamięci potomnych, przyświecając im jak gwiazdy przewodnie na drodze postępu.

Dr. M. Flaum.

Królewicz Marko.

PIEŚŃ I.

(Ciąg dalszy).

Padły wszystkie serbskie wojewody.
Naprzód stary wojewoda Jug Bogdan
I dziewięciu młodych Jugowiczów,
I Obylicz Miłosz, wojewoda,
I Toplica i Relja skrzydlaty,
Stefan Musicz i Kosanczyc Iwan,
Wuk Brankowicz, i Piotr Braniczewiec,
Iwan Żiwko, Banowicz Strachinia
I waleczny Serdżja Złopogledżja.

Padły wszystkie obce paladyny —
Zginął węgier Janko Sybinianin,
Czeski Zabój, i polscy rycerze,
Mężny Kirkor padł i Walgierz Wdały.
I frankoński Roland niezwalczony;
Padł i hiszpan ów, Cyd Campeador,
I rakuski Zygmunt Luksemburczyk,
I królewicz duński, Hamlet smutny.

Taki straszny był ów bój kosowski!
Póki bitwy ludów świat pamięta —
Takiej bitwy na świecie nie było.

Padli także na Kosowem polu
Arto Gławacz — tęgi chłop z zadrugi,
I z Belgradu kowal, Iwo Kjitin.
Jako bracia padli koło siebie,
A gdy ranni padli koło siebie,
Arto Gławacz mówi do Kjitina.

»Oto, bracie, zwyciężyły turki,
Zwyciężyły Serbję starosławną!
Padły wszystkie serbskie wojewody,
Własteliczc i wszystkie żupany...
Ale czemże są wszystkie żupany,
Kromie dłoni wieśniaczego ludu?
A nie było ludu na Kosowie.
Ile ludzi siedzi w chatach wiejskich,

Tyle ludzi w chatach pozostało.
Serce ludu krwią nie uderzyło,
Gdy tureckie zahuczały trąby,
A na Serbję wichrem szła niewola.
Jakże krwią bić miało serce ludu,
Gdy on jęczał w župańskiej niewoli,
Gdy sam nie miał chleba ani słowa
I we własnej ziemi był pasierbem.
Kiedy Turcy Serbję najechali
Lud wieśniaczy — własnej matki pasierb —
Krzywo myślał — jak zbłąkane dziecię —
Że bojarów najechały Turki,
Więc też nie chciał iść im na obronę.
Biada Serbji, oto padła Serbja,
Bo nie było ludu na Kosowie.
Teraz pozna serbski lud niewolę,
Czy się zbudzi kiedy w tej niewoli,
Czy Kosowski kiedy bój odnowi,
Aby wygnać turka bisurmana?«

Rzekł i umarł. I umarli oba.
Dwie ich dusze płomieńmi jasnemi
Uleciały w powietrze błękitne.

Nad szerokiem, nad Kosowem polem
Czarne kruki stadami latają,
Skrwawionemi dziobami krakają.
»Chwała tobie, królewiczu Marku,
Żeś nam ucztę zastawił bogatą.
Mamy Serbów równo sto tysięcy,
Mamy Turków dwakroć sto tysięcy.
Będzie uczta, jak nigdy nie było,
Spamiętają kruki bój kosowski,
Będą chwalić Marka królewicza«.

Dok. nast. *A. Lange.*

KRYZYS.

(Studjum z natury).

(Ciąg dalszy.)

— Jakto! Dla kogoż w takim razie piszecie?

— Dla siebie piszę — odparł z chłodną pogardą Gruszczyński. A zresztą cóż to są te nasze pisma? — Przekupki, rajfurki, roznosiciele nowości po dziesięć groszy za arkusz bibuły...

Kalinowski protestował, wymieniając pisma, które szanował; próbował również oprzeć się na własnem doświadczeniu i dowieść, że pismo jest potrzebne,

— Tam zwłaszcza, na prowincji, w tych trzęsawiskach życia publicznego! — wołał. — A jeśli brak sił, to właśnie tacy, jak pan, powinni odświeżyć treść pism, torować nowe drogi. —

Gruszczyński jednak obstawał przy swojem.

— Nie, panie, do żadnego stada się nie przyłączę. »Najsilniejszym jest człowiek samotny« — tak jest, panie. Moralność uspołecznienia i wszelkich kompromisów nic dziś nie jest warta — to moralność niewolników.

Następnie mówił Gruszczyński o Ibsenie i o Nitschem — Kalinowski twierdził, że należy inaczej rozumieć ich doktryny, Gruszczyński się nie zgadzał... Dysputa trwała co najmniej półtorej godziny, podczas których Gruszczyński usiłował się ubrać... Przez otwarte okna przestały już płynąć do pokoju kurze trzepanych dywanów. Natomiast czad i zapachy kuchenne zwiastowały dysputującym godzinę obiadową. Podczas obiadu, zjadanego, »jak dawniej«, u Czerskiego — toczyła się w dalszym ciągu ożywiona rozmowa. Z kwestji filozoficznych, dyskusja zeszła na kwestje sztuk pięknych. Następnie Gruszczyński począł rozwijać przed Kalinowskim pomysł pewnego studjum, w którem chciał przedstawić dorobkiewiczowstwo w sztuce. Gruszczyński wogóle wyznawał wiarę w arystokratyzm ducha i dorobkiewiczowstwo w sztuce, w nauce oburzało go niewymownie. Studjum o dorobkiewiczowstwie miało również zawierać się w cyklu szkiców, jak i ów temat filozoficzny.

W drodze na czarną kawę, na którą poszli, »jak dawniej« do Blickla, Kalinowski zwierzył się wreszcie Gruszczyńskiemu, że i on zamierza napisać studjum p. t. »Trzęsawisko«. »Trzęsawisko« miało być obrazem stosunków na prowincji i Kalinowski malował je istotnie z taką samą niemal werwą pesymistyczną, z jaką Gruszczyński mówił o prasie i o Warszawie. Gruszczyński wysłuchał zwierzeń dość obojętnie — jedną bowiem z zasad jego było nie wgłębianie się w cudze pomysły. »Cudzy pomysł« nic, a nic nie obchodził Gruszczyńskiego, który przedewszystkiem pilnie strzegł »własnej indywidualności«.

U Blickla znowu moc wspomnień ogarnęła Kalinowskiego. Tu ongi toczyły się rozmowy o impresjonizmie i dekadentyzmie; tu wypijano n + 1 czarnych kaw; stąd ruszano na nocne przechadzki w aleje lub na kolacje do Victora; stąd również w czasie deszczu czyniono spostrzeżenia pedologiczne nad nóżkami warszawianek... Michał, lokaj kawiarniany, odrazu poznał starego gościa:

— Mszanowanie panubdziejowi! Mszanowanie... Panbdziej dawno u nas nie był!

Wszystko to wprawiało Kalinowskiego w stan nieco gorączkowy. W każdej chwili i na każdem miejscu, czy to na czwartaku, czy u Blickla, czy na ulicach znane otoczenie spowodowywało, że tłum nieuświadomionych wspom-

nień powstawał w duszy Kalinowskiego i podważał niejako natężenie chwili obecnej. Była to jakby błyskawiczna rewja przeszłości, dokonywująca się gorączkowo, samorzutnie i bezwiednie w duszy Kalinowskiego. Była to zresztą istna pielgrzymka, po miejscach niegdyś uświęconych.

Od Blickla, gdzie się znalazł i Dziorobek, poszli we trzech na wystawę sztuk pięknych. Tu uderzyła Kalinowskiego względna obfitość obrazów symbolicznych i impresjonistycznych. Gruszczyński czuł się w swoim żywiole, stali więc długo przed portretem damy, której kropkowato-fioletową indywidualność Gruszczyński »odczuwał«, Kalinowski zaś, mimo wysiłków, uważał za chybioną. Oglądali następnie obrazek p. t. »Śpiąca królewna«, gdzie na żółtej trawie, pod cieniem szarych drzew, na brzegu rdzawej wody spoczywało coś w rodzaju chińskiego cienia. Ten obraz Gruszczyński polecał szczególniejszej uwadze Kalinowskiego, który istotnie w pocie czoła pracował nad zrozumieniem symbolu. Najdłużej wszakże zatrzymano się przed obrazem p. t. »Fatum«: Na łące nieco wklęsłej pośrodku, utrzymanej w tonie żółtym i upstrzonej krwawemi pręgami, leżało serce gorejące; wdali na widnokręgu, już z ram obrazu wychylały się dwie ogromne stopy w ruchu, zmierzające w kierunku serca. Kalinowski starał się znowu odczuć obraz, Gruszczyński na zarzut jego opowiedział:

— Po cóż pan to nazywa obrazem? Nazwij pan to jak chcesz... Jest to poprostu rzecz pewna, mająca budzić pewne wrażenia.

Kalinowski właśnie nie mógł wydobyć z »rzeczy« żadnego wrażenia. W tem dwaj kantorowicze zatrzymali się przed »Fatum«, najpierw obejrzeli podpisy malarza, następnie tytuł.

— Rozumiesz ty to? — zapytał jeden.

— Ja to o d c z u w a m — odrzekł drugi — w tem jest wielka finezja. Czy widzisz, jaki mistyczny ton tego obrazu. To całkiem Maeterlinckowski ton!...

W tem miejscu kantorowicz spojrzał zezem po obecnych. Kalinowskiemu zrobiło się nagle jakby ckliwo na sercu, jakby czegoś obrzydliwie. Odszedł na chwilę od Gruszczyńskiego i błąkając się po sali, dziwił się w duszy, że tak nic nie może odczuć tych »rzeczy, mających dawać pewne wrażenia«.

— Kapcanieję w swojej dziurze — czy co?

I przypomniał, że przed dwoma laty i on wypowiadał frazesy, o mistycznym tonie i o Maeterlincku — a teraz na dźwięk ich, zdało mu się, że ktoś zębami po szkle przejechał... Dopiero przed jedną z wód wiosennych Chełmońskiego przyszedł Kalinowski do siebie, a raczej o sobie zapomniał. Stał i stał przed płótnem, nie wiedząc nawet, czy to przed nim na obrazie, czy w nim samym, gdzieś na ekranach pamięci drżą te srebrne strugi i faluje wdal słoneczne przestworze... Tuż obok przed »kobietą w kąpieli« stanęli znowu dwaj kantorowicze i znowu rozpoczęli głośny komentarz artystyczny; przy wyrazie »karnacja« Kalinowski nie wytrzymał i drapnął do drugiej sali. Rozdrażnienie jednak, które go opanowało nagle przed gorejącem sercem, nie ustępowało, wskutek tego rozpoczął nagle dysputę z Gruszczyńskim i Dziorobkiem, napadając na cały symbolizm, mieszając symbolistów z impresjonistami. Gruszczyński, trochę zdziwiony, rozprawiał szeroko o indywidualności w sztuce nie dając się unieść irytacji Kalinowskiego.

— I to serce, panie, i ta królewna, i to wszystko — wołał Kalinowski — nie warte kiwnięcia palcem w bucie.

Dziorobek spojrzał na Kalinowskiego z wyrazem nudy.

— Po cóż pan w takim razie językiem kiwa?

— I to prawda — rzekł Kalinowski.

Po wyjściu z wystawy czuł już zakłopotanie z powodu tego wybuchu anti-symbolistycznego, który go tak nagle chwycił.

— Co to dziś mamy? — Czwartek? — Wiecie, panowie, zbierzmy się w sobotę u Victora. W sobotę i Bolek ma więcej czasu, to sobie pogadamy.

Artyści przystali i obiecali ściągnąć jeszcze kilku swoich.

Po rozstaniu się z Gruszczyńskim i Dziorobkiem, nie miał Kalinowski czasu na wyrzuty sumienia, bo to była właśnie godzina objadu u narzeczonej Bolka, na który był zaproszony.

IV.

Piątek był dniem przyjęć redakcyjnych w piśmie, którego Kalinowski był stałym zwolennikiem i które nawet od czasu do czasu zasilał swojemi »listami z prowincji«. Po wczorajszym obiedzie u panny Anny, po którym całe towarzystwo udało się do teatru — Kalinowski przespał do południa. Zwłaszcza, że po teatrze pojechano jeszcze w dwa powozy w Aleje, a po tem wszystkiem znowu zasiedzieli się z Bolkiem u Victora. Po śniadaniu bardzo spóźnionem Kalinowski przejrzał notatki, które porobił ze swego T r z ę s a w i s k a i poszedł do redakcji. W drodze ułożył sobie całą rozmowę z redaktorem, którego ciekaw był poznać osobiście. W redakcji spotkał go mały zawód: okazało się, że się spóźnił na godziny przyjęcia rannego i musiał teraz czekać do godziny 5-tej. Wreszcie po spacerze do Łazienek i napowrót znalazł się Kalinowski znowu przed drzwiami gabinetu redakcyjnego.

W gabinecie dość ubogo wyglądającym, za biórem obłożonem stosami książek, broszur i gazet, siedział człowiek niedużego wzrostu

w szarej poplamionej marynarce. Był to redaktor. Redaktor powstał z krzesła i zwrócił na Kalinowskiego pytające spojrzenie — oczy miał rozumne i dziwnie zmęczone jakby z wysiłkiem patrzące z pod zaczerwienionych powiek. Kalinowski przedstawił mu się, dość pewny, że nazwisko jego nie będzie obce redaktorowi. Redaktor istotnie przypomniał sobie.

— Pan Kalinowski? Zapewne pan pisywał korespondencje?

Kalinowski uśmiechnął się pobłażliwie.

— Tak... właściwie listy z prowincji.

— Czemże mogę służyć? — zagadnął redaktor.

Kalinowski poprawił się w fotelu.

— Od roku noszę się z myślą, t. j. właściwie chciałbym napisać szereg szkiców o prowincji.

— Pan zapewne zna dobrze stosunki swojej okolicy — wtrącił redaktor.

— Istotnie... zdaje mi się, że zaobserwowałem sporo ciekawych objawów.

(C. d. n.) *Jerzy Grot.*

PIEŚNIARZ.

Obrazek z dziejów młodej Grecji.

Przez

Michała Wołowskiego.

(Ciąg dalszy).

Tym razem Ali nie ugiął się pod słowami, ale za to na ciele całem drżeć począł.

— Czego chcesz, Ali pasza cię słucha.

— Onegaj napadłeś Pargę, zniszczyłeś ją ze szczętem; nasi z gór już ci na ten czyn odpowiedzieli. Wszak ty znasz tych z gór, oni nie żartują; bić się z tobą będą, dopóki cię ztąd nie wypędzą, ale bić po junacku, po rycersku; jeżeli wszakże jedna głowa pokaże się na palu lub stryczku, pamiętaj: szczyty Peljonu, Olimpu, Agrafy zapłoną; nie będzie góry, doliny, wioski i konaku, w którychbyś mógł spokojnie jeden dzień przepędzić, aż dopóki na wieki żyć przestaniesz.

— Kto jesteś, że takie słowa mówić się ośmielasz?

— Jeden z nich, najmniejszy, więc dlatego do ciebie mnie posłali; ja nawet jataganem władać nie umiem; chęć potężnego jutra, słowo moje, pieśń moja, oto i cała siła moja także.

— Kto jesteś? — wrzasnął po raz drugi Ali.

— Ten, którego imię Grecja cała kiedyś powtarzać będzie. Kostaki Rygas, pieśniarz uciśnionego ludu.

— Na pal z nim! — wrzasnął Ali, i prawie jednocześnie z tem słowem kulka gwizdnęła mu nad uchem.

Kostaki nie zdziwił się nawet, gdy z za okna padł strzał, uśmiechnął się tylko i odparł:

— Widzisz, sam rozkaz twój, samo słowo, sama myśl sprowadza kulkę; pomyśl, co czyn sprowadzi.

Ali zbladł i zadrżał; rozumiał on tę potęgę; gdy czauszowie szukali wokoło konaku sprawcy zamachu, chodził po kobiercach, rzucał się, i w końcu, z nienawiścią postępując ku posłannikowi kleftów zawołał:

— Powiedz tym psom, że zgoda; albo nie, powiedz im lepiej, że Ali już teraz nie trzyma z Dywanem i Mahmudem, że pragnie wolności Grecji tak, jak oni, że im sam do tego pomoże... Nie wierzysz?! zawołał gwałtownie, ujrzawszy na twarzy Kostakiego uśmiech ironiczny — a jednak to prawda... Nie wierzysz?... Precz z półksiężycem! hej, Stataki!

Tu wpadł faworyt.

— Powiedz temu oto człowiekowi, żem ja wasz teraz, żeś ty mój przyjaciel i że mi córkę oddajesz za żonę, że się z nimi zgodzę, byle mi pomogli zgnieść Róg Złoty i Mahmuda, jego wezyrów i świat cały.

— Co? — odparł chłodno Kostaki — ten człowiek oddaje ci córkę za żonę?...

— Oddaje! zawołał Ali. — Oddaje! no, cóż milczysz, psie grecki? gadaj, bo cię uduszę!

Tu chwycił Statakiego tak silnie za gardło, że mu już, zdawało się oczy na wierzch wypłyną.

— Tak, daję — wykrztusił ledwie duszony.

— Widzisz, jaki on poczciwy, ten Stataki — kończył nagle uspokojony Ali — oddaje mi córkę, najpiękniejszą dziewczynę Grecji, a to dla tego, że mnie nawrócił na własną wiarę, iż mnie przekonał, że tylko w krzyżu waszym zbawienie leży.

Stataki podniósł w górę oczy, znów się nabożnie przeżegnał i szepnął:

— Czegoż się dla chwały Boga i Jego wielkiej religji nie uczyni?

— Podły! — syknął Kostaki — a Emina?...

— Co znaczy to pytanie? — zawył Ali.

— Emina zrozumie, co dla religji i Pana Boga zrobić może przez poświęcenie swoje, Emina pójdzie tą drogą, którą jej Bóg przeznaczył, o, ona się umie dla Niego poświęcić.

— Podły! — zawołał powtórnie Kostaki.

Gdy słowa te doszły do uszów Alego, jak pantera rzucił się ku młodzieńcowi.

— Ty śmiesz mnie lżyć? żmijo nikczemna! Okuć cię każę, do lochów wrzucić na pastwę wężów, wbić na pal, poćwiertować!

— To zginiesz — odparł zimno Kostaki.

— Ja zginę, ha, ha, ha! gadzie, znam ja słówko wasze: »zginiesz«. Widzisz zgraje tych ludzi, co mnie otaczają, ani jednego nie ma między nimi, któremubym nie kazał zabić ojca, brata, stryja lub krewnego. Jednak oni mi służą, noce przepędzają przy mojem łożu, a nie przychodzi im na myśl, żeby się pomścić śmierci swoich. Mnie jednego mają na świecie; ślepi to wykonawcy mej woli, im więcej ich zduszę, zmorduję, poniżę, zdepcę, tem więcej do mnie przywiązani; uważają mnie za istotę nadzwyczajną, a moja siła — to złoto, żelazo, bat. Tak, mogę spać spokojnie...

— Ale żaden z nich nie jest kleftą. Zabiłeś im ojców, braci, znieważyłeś im siostry, ale nie trapisz ich ojczyzny, bo oni jej nie mają. Lecz w kleftów sercach ona mieszka, oni ją czują w sobie, wierzą w Boga i kochają Go, ale nie poświęcą mu ziemskiej ojczyzny, a za grzech uważać nie będą, gdy twoją wędrówkę do szatana przyśpieszą.

Ali znów się zastanowił i powrócił do łagodności. Zaczął cedzić słówka powoli...

— Powiedz im więc, co mówiłem z tobą; powiedz, że przystaję na zgodę, niechaj idą ze mną ręka w rękę, a Grecja wolną będzie.

— Tak, dobrze, powiem im to, odparł Kostaki, — ale uśmiechnął się przy tem tak dziwnie, że ten uśmiech wystarczył za odpowiedź Alemu i za dokończenie frazesu. Ale oni temu nie uwierzą.

Na tem Kostaki skończył swoją rozmowę z Alim, spełnił swoje posłannictwo i spieszył się za światy.

Na drodze czekała go Roksanda. Chciał jej opowiedzieć całą rozmowę z Alim, ale ona słyszała ją już, przytuliwszy się do okna otwartego konaku; kulka, która świsnęła nad uchem rozhukanego pana, pochodziła z jej janczarki.

Kostaki dodał jej tylko jedno:

— Roksando słyszałaś: Stataki oddaje Eminę Alemu: myśl o tem także często; taka czysta lilja nie powinna się dostać w okrwawione i splugawione dłonie. To nasza krew, choć fanarjotyzm zmienił ją i przekształcił. Mnie już coś pcha naprzód, każąc mi się spieszyć, więc idź!

— Kostaki! jednym jękiem ozwało się z piersi Roksandy, ty idziesz?

— Muszę...

— Pamiętaj o... Grecji... o mnie!

— Z życiem chyba ta pamięć zginie.

I rzuciła się do nóg Kostakiego Roksanda, i całowała je, i oblewała łzami, a on, choć miał łzy w oczach, chociaż ją co chwila z ziemi podnosił, do piersi przyciskał, w czoło całował, jednak w dal okiem gdzieś gonił, na północ, zkąd lepszych dni się spodziewał i gdzie rozumu dziś się chciał uczyć.

Żal mu było rozstać się z temi górami, po których tyle lat się błąkał. Czuła to Roksanda, bo łzy połykając, jeszcze raz chwyciła go w swoje ramiona i z mocą zawołała:

— Idź!

A po tem słowie szybko odbiegła od ukochanego, jakby się obawiała, aby jej i jemu odwagi nie zbrakło.

— Emina! pamiętaj! zawołał Kostaki za odchodzącą.

Raz jeszcze spojrzał na zgliszcza Pargi, dymiące w dali, raz jeszcze łzę otarł i poszedł dalej.

Roksanda nie pytała go już nawet o to, czy wróci i kiedy, lub czy da jaki znak o sobie, bo wiedziała, że poza sobą pozostawia Grecję, o której zapomnieć nie mógł.

Szlochając, w drodze powtarzała sobie wszystkie piosenki Kostakiego, a dziwnie mieszały się te jej szlochy z dziką melodją pieśni.

W uszach jej, niby fałszywa nuta w akordzie, brzmiały ostatnie słowa ukochanego...

— Emina! pamiętaj!

— Dlaczego on o niej myśli!? po co mam ją ratować? niech zginie; z podłego fanarjotów rodu nie wyjdzie nic — prócz żmiji, która kąsać będzie. Niech marnieje, niech ginie, a mnie co do tego? Niech ją bierze Ali; on się niepotrzebnie o nią troszczy; plemię to całe zmarnieć musi, jak konary drzewa, którego korzenie uschły.

Kostaki szedł długo, głodny i spragniony, szedł, a pytał się o Wołoszczyznę i o hospodara Michała, aż przyszedł na dwór jego prawie bosy i obdarty.

Czekał długo pod drzwiami, zanim go tam wpuszczono.

— Ojcze! ojcze! jęczał, rzuciwszy mu się do nóg, idę z gór Tessalskich, ludzi tam siła umiera, przychodzę do was przyglądać się — jak żyć trzeba, aby żyć długo i dobrze.

Hospodar słuchał, uszy nadstawiwszy. Kostakiego przyodziać kazał i na dwór swój przyjąć. Hospodar jednak wielomównym nie był. Cudzemi sprawami zajmować się nie lubił, zgodę i pełny żołądek miłował nadewszystko. Lubił patrzeć na Kostakiego, bo ten był chłopcem ładnym, ale polityka mu w smak nie szła; do słowa też nigdy Kostakiemu dójść nie pozwolił.

— Jesz dobrze, dukaty masz, zdrów jesteś, siedź cicho, oto była odpowiedź hospodara.

Kostaki myślał i myślał, aż w końcu przyszedł do wniosku, że u hospodara rozumu dla Grecji nie nabędzie. Dukaty przez rok cały skrzętnie zbierał, a po roku znów hospodara objął za nogi pewnego poranku.

— Panie, ja chcę iść dalej.

— Czy ci źle? czy cię kto skrzywdził?

— Nie.
— Więc cóż?
— Tu nic nie słyszę o Grecji.
— A gdzie usłyszysz?
— Może dalej.
— A, no, to idź, chociaż tu byłoby ci lepiej, gdybyś siedział.

Kostaki z rady nie korzystał, ucałował ręce księcia, setkę dukatów za wierną sprawę wziął i znów poszedł do... Wiednia.

Tu ujrzał szkoły i ludzi, którzy się w nich uczyli i zawołał:

— Tak, stąd się nie ruszę. Tu zacznę budować Grecję.

C. d. n.

Rozbiory i sprawozdania.

J. Wł. Dawid. Zasób umysłowy dziecka. Przyczynek do psychologji doświadczalnej. (Wydawnictwo Przeglądu Pedagogicznego). Warszawa 1896.

Dziełko wyżej wymienione to pierwsza w literaturze naszej próba ułożenia psychologicznej statystyki postrzeżeń i wyobrażeń u dzieci. Autor przed ośmiu jeszcze laty ogłosił był broszurę p. t. »Program postrzeżeń psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem od urodzenia do 20 roku życia«, a jednem z zadań, tam wymienionych, było właśnie statystyczne obliczanie — za pomocą umieszczonego w »Programie« kwestjonarjusza — zasobu doświadczeń i wyobrażeń dziecka. Odpowiedzi nadsyłane — przeważnie przez nauczycielki i nauczycieli — od chwili ogłoszenia kwestjonarjusza, oraz rezultaty tegoż rodzaju badań statystycznych, dokonanych przez pedagogów niemieckich i amerykańskich, dostarczyły p. Dawidowi materjału do nader cennych wywodów i do ustalenia teoretycznych wyników, któremi się dzieli z czytelnikami w omawianej pracy.

Kwestjonarjusz naszego autora, obejmuje 136 przedmiotów, rozpadających się na grupy następujące: a) świat zwierzęcy; b) świat roślinny; c) ziemia; d) zjawiska natury; e) człowiek; f) zajęcia ludzi; g) miasto i wieś. Na podstawie tego kwestjonarjusza zbadano ogółem 479 dzieci. Liczba ta obejmuje chłopców i dziewczęta w wieku lat 6—12, dzieci chrześcijańskich i żydowskich. Ogromna większość zbadanych zamieszkiwała stale w Warszawie i należała do klasy ubogiej, były to bowiem dzieci rzemieślników, robotników fabrycznych, wyrobników, stróżów, służby domowej i hotelowej, sklepikarzy, szwaczek i t. p.

Cyfrowe rezultaty badań autor zestawił w dwóch tablicach, z których pierwsza wskazuje, ***ile przeciętnie wyobrażeń danej kategorji dzieci rozmaitego wieku posiadały,*** druga zas ***ile dzieci na sto danego wyobrażenia nie posiadało.*** Materjał tak zgromadzony pozwala przedewszystkiem autorowi odpowiedzieć na pytanie, jaką jest ***przeważająca treść umysłu dziecięcego.*** Zestawienie rezultatów wykazuje bowiem, że największy procent wyobrażeń, jakie dzieci posiadały (80%), odnosiły się do człowieka, najbardziej zaś rozpowszechnioną była znajomość trzech następujących faktów: ludzi tańczących (97.8%), pijanych (97.8%) i żołnierzy (97.5%). Dalej następowały zjawiska natury (72%), fakty geograficzne i gatunki ziemi (71%), rośliny i zwierzęta (66%), w końcu zajęcia ludzi i kształty ludzkiego siedliska (63%).

Zestawienie wyobrażeń co do poszczególnych przedmiotów zamyka autor uwagą, znamienną tak dla warunków społecznych, jak i charakteru narodowego. »O ile — mówi on — na podstawie otrzymanych i przechowywanych postrzeżeń sądzić zechcemy o sumie szczęścia, radości i smutków, jakie w udziale ubogim dzieciom warszawskim przypadają, to okaże się, że większy procent dzieci poznało szpital (62.6%) i więzienie (50.6%), aniżeli było w teatrze (42%), większa liczba była na cmentarzu (87.1%), niż w ogrodzie zoologicznym (26.4%), więcej takich, które miały sposobność widzieć pożar (87.5%), aniżeli posłuchać orkiestry (83.1%). Wszystko to jednak nie przeszkadzało wcale, ażeby jednem ze spostrzeżeń, jakie dzieci nasze najpowszechniej odbierały, był widok ludzi tańczących (98%)«.

Posługując się metodą indukcyjną, autor wiedzie czytelnika w dalszym ciągu swej pracy przez labirynt badań i dociekań — a więc dłuższą, lecz najbardziej przekonywającą drogą — na szczyty naukowych swych wywodów, z których jedne ustalają związek między stopniem inteligencji dziecka i jego wiekiem, a ilością posiadanych wyobrażeń, inne mówią o rytmiczności postępu umysłowego dzieci, jeszcze inne wskazują na różnice, zachodzące między umysłowością dziewcząt i chłopców lub oceniają wpływy otoczenia miejskiego i wiejskiego, szkoły i domu.

Doniosłość badań p. Dawida, uzna każdy, przyklasną wszelako najgłośniej Szanownemu autorowi nauczyciele i wychowawcy. Racjonalne nauczanie wymaga, aby materjał, jaki się daje dziecku, odpowiadał poziomowi jego rozwoju, aby nowe pojęcia i wyobrażenia uczeń przyswajał za pośrednictwem już posiadanych, a dziełko p. D., podając cenne wyniki licznych i umiejętnie przeprowadzonych doświadczeń, uczy nadto dróg i sposobów do poznania głębi, jaką jest każda dusza — a więc i dusza dziecka. Zajmie też ono niechybnie w bibljoteczkach naszych pedagogów należne sobie miejsce obok prac Preyera i Pereza, a będzie tem milsze i pożyteczniejsze, że nasze — oryginalne — swojskie.

M. W.

PRO MEMORIA.

15. października 1817. Zmarł w Solurze w Szwajcarji o godzinie 10. wieczorem Tadeusz Kościuszko.

16. października 1813 Bitwa pod Lipskiem, w której 160 tysięcy wojsk francusko-polskich zwyciężyły 260 tysięczną armię państw związkowych. Napoleon mianował na polu walki ks. Józefa Poniatowskiego marszałkiem Francji.

16. października 1820. Rozpoczęto sypanie kopca Kościuszki.

17. października 1963. Traugut objął rządy.

18. października 1813. Utonął w Elstorze białej (prawa odnoga rzeki Saale) ks. Józef Poniatowski.

20. października 1863. Ksiądz Mackiewicz stoczył bitwę pod Świętobrością.

20. października 1863. Wisłouch pobił Moskali pod Żyżmorami.

20. października 1863. Czachowski pobił w pobliżu Osieka majora Czati.

21. października 1784. Założono uniwersytet we Lwowie.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie.